

Bogusława Latawiec

Mickiewicz udomowiony

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (53), 177-181

1998

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Bogusława Latawiec

Mickiewicz udomowiony

Mickiewicz był w naszym domu od zawsze. Tyle tylko że dla mnie nie od razu jako pisarz, raczej daleki krewny żyjący w innym mieście, któryś z ojca przyjaciół: ktoś, o kim się często i ciepło mówiło. O jego małżeństwie, chorej żonie, stosunku do Boga, kłopotach materialnych, kolejnych pracach, dzieciach, synu Władysławie (ojciec go nie lubił).

Był więc czas, gdy wierzyłam, że pewnego dnia pan Adam zadzwoni do naszych drzwi. Powiesi płaszcz w korytarzu, a ojciec poklepie go po ramieniu, tak jak to miał w zwyczaju, witając swoich bliskich, kolegów, uczniów, odwiedzających go po raz pierwszy od czasu wojny, i powie przez ściśnięte wzruszeniem gardło, grubiej niż zawsze:

– Serwus, chłopie.

A potem otwierając drzwi do jadalni krzyknie w wielką przestrzeń nowego mieszkania do Uliny albo Zośki, do kolejnej naszej dziewczyny-gospozi (matka sprowadzała je ze wsi, po czym zapisywała do szkół wieczorowych):

– Piorunem dwie herbaty!

Tak będzie, myślałam niechętnie, bo nie lubiłam tego Mickiewicza, jak go w myślach nazywałam, ponieważ zabierał mi ojca, jego czas i troskę. Byłam zazdrosna. Rzadziej się wtedy ze mną bawił, prawie nie rozmawiał. Często wyjeżdżał, „piorunem” zakładał szkoły w województwie, „węszył” po prowincji szukając nauczycieli, ściągał najlepszych z okupacyjnego wygnania, zmagął się z milicją, nieraz z dyrektorami szpitali i wojskiem (wojna się jeszcze nie zakończyła) o gmachy dla nowo otwartych liceów, a potem wszystko to z detalami opowiadał matce.

Zdarzało się wprawdzie, że w trakcie zajadłych dyskusji z którymś ze swoich „witaj-chłopów” sadzał mnie sobie na kolanie i huśtał w rytm własnych zdań, co pomagało mu w myśleniu, ale dobrze wiedziałam, że robił to automatycznie, bez serca. Najczęściej rozmawiał o Mickiewiczu. Akurat zaczął na powrót gromadzić jego dzieła: przedwojenna biblioteka zaginęła (we wrześniu 1939 rodzice musieli opuścić mieszkanie w ciągu dziesięciu minut). Kompletował, jak mówił, materiał do pracy; wyszukiwał, wymieniał, kupował, buszował po magazynach, kościołach, gdzie Niemcy zwalili wiele prywatnych zbiorów.

Z biegiem czasu pozycja Mickiewicza w naszym domu potężniała, a moja malała. Byłam dla rodziców wprawdzie kochanym, ale jedynie – dodatkiem do nowej rzeczywistości, którą z pasją usiłowali uczynić znowu normalną.

Ojciec często stwierdzał: – Najwyższy czas, żeby zaczęli czytać Mickiewicza. – W jego ustach znaczyło to najpierw: czas najwyższy, żeby ruszyły szkoły, później – czas najwyższy, aby ruszyły drukarnie, a na końcu – czas najwyższy otworzyć biblioteki!

Matka coraz częściej prosiła: – Nie hałasuj, bo ojciec siedzi nad Mickiewiczem. – Niezależnie od tego, jak bardzo zmęczony wracał do domu, całe wieczory spędzał w rogu swojego gabinetu, w głębokim fotelu, z nogą na nodze, z notatnikiem w twardej oprawie na kolanach. Pisał monografię poety. Gonił swoje stracone lata. To trwało od mojego dzieciństwa aż do dorosłości, może ze dwadzieścia lat. Zawsze stawiał sobie karkołomne zadania. Tylko całość go interesowała: pochodz wieków, kosmos myśli. Ja byłam dla niego w tym okresie jedynie dowodem na to, że nadszedł czas, w którym można wreszcie przestać bać się o dzieci: przeżyły okupację – świetlana przyszłość przed nimi. Przed wojną miał lewicowe poglądy i jak na razie trwał w euforii.

Sama się w końcu, bez pomocy rodziców, zorientowałam, że pana Mickiewicza można spotkać tylko w jego książkach.

Normalny pokój zamieniał się w bibliotekę (choć jeszcze bez regałów), opasłe tomiszczą „walały się” (jak mówiły kolejne gosposie) wszędzie: na podłodze, krzesłach, tapczanie. Niektóre pozakładane, ze świstkami papieru w środku, pokreślone ołówkiem, z notatkami poprzednich właścicieli na marginesach, pachniały kwaśno wilgocią, piwnicami, w których były przechowywane przez okupację. Świat okładek – barwny, pełen złocień, tytuły ozdobne, druk wklęsły, wypukły, w środku obrazki, ryciny, mapy – dla dziecka wojny był to prawdziwy tajemniczy ogród. Pod nieobecność ojca coraz częściej przesiadywałam w gabinecie i oglądałam książki, wahałam, wertowałam, czytałam... Jakoś to tolerował. Zazwyczaj wystarczało mu tylko jedno prędkie spojrzenie, aby ocenić, czy układ tomów w pokoju jest taki sam, jakim go zostawił rano (teraz pracował już także przed wyjściem do pracy). Z czasem zaczęłam więc zupełnie jawnie wnosić jego książki do swojego pokoju. Nie protestował.

Któregoś wieczoru – nie pamiętam, czy chodziłam jeszcze do klasy piątej czy już do szóstej, wzięłam do siebie *Pana Tadeusza*. Niewykluczone, że był to okres, w którym nasza polonistka ćwiczyła z nami na auli inscenizację fragmentów *Pana Tadeusza* (grałam Telimene). I tak oto po raz pierwszy stanęłam oko w oko z panem Adamem. Dokładnie potrafię zrekonstruować porę roku, dnia, pogodę, wszystko, co towarzyszyło temu niezwykłemu spotkaniu. Lśnił późny, jesienny wieczór, padało, latarnie za oknami świeciły podwójnie: w górze i w kałużach, wiało, szyby drgały, krople bębniły po parapetach. Siedziałam z poematem w sypialni, przy zielonej lampie, szklany klosz, od środka biały,

dawał ostre światło w dół i seledynowy półmrok po ścianach. Kochałam tę lampę. W pokoju czułam się jak w lesie. Rodzice rozmawiali głośno za szeroko otwartym, podwójnym skrzydłem drzwi. Przeszkadzali mi, tym bardziej że *Pan Tadeusz* był dla mnie jeszcze za trudny. Wielu słów, sytuacji po prostu nie rozumiałam. Zaczęłam go więc jedynie wertować, przerzucać i gdzieś już pod koniec przeczytałam – raz cicho, drugi raz głośno:

I anioł burzy na kształt niezmiernego słońca
Rozświeci twarz, i znowu okryty całunem
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.

Ołśnienie. Tak, tylko takie wysokie, pałace słowo przychodzi mi teraz na myśl, gdy próbuję wyrazić to, co wtedy poczułam. Aż musiałam zmrużyć oczy, krew uderzyła mi do głowy... To było jak dotknięcie ust, serca gorącą dłonią. Oglądałam już wtedy kilka wielkich burz, znałam doskonale naprzemienną zjawiska: światło błyskawic i huk grzmotów. Mickiewiczowski opis połączył się gwałtownie z pamięcią doznania zmysłowego – światło, grzmot.

I tak zostało do dziś, zawsze pisane – swoje i cudze – sprawdzam sobą, swoim widzeniem, usłyszeniem. Od nich zaczyna się dla mnie dzieła poezja. Myśl, dźwięk słów, rytm zdań, anegdota, kompozycja – to już druga fala poszukiwań. Zachwyciła mnie prawda tego obrazu i jednocześnie możliwość wyczytania z niego sensu ukrytego, tajemnicy. To oczywiste, myślałam w podnieceniu – błyskawica je s t twarzą Anioła, oglądamy ją z tak daleka, że nic dziwnego, iż nie możemy dostrzec jej rysów i widzimy tylko blask, i to nie grzmot słyszemy naprawdę, tylko huk zatraskiwanych drzwi do nieba – później zostaje już tylko czerń ściany z chmur! Przecież to takie proste! Anioł burzy skojarzył mi się także z moim własnym Aniołem, moim stróżem, do którego modliłam się co rano i wieczór. Tak go sobie właśnie wyobrażałam – płonął niby „niezmierne słońce”.

Nie uświadamiałam sobie jeszcze wtedy podwójnego życia każdej metafory, jej magicznej iluzjonistyczności, tego, że porównywane i porównujące nie jest tożsame, że znika jak odbite światło po sekundzie zachwyty i twarz anioła zostaje na powrót tylko pospolitą błyskawicą. Dla mnie owe niezwykle znaczenia zostały unieruchomione raz na zawsze, jak na rysunku.

I w tej wielkiej radości, że coś się ze mną stało dziwnego, że jestem nagle kimś zupełnie innym niż dotąd, kimś wtajemniczonym, pobiegłam do rodziców. Moje wzburzenie było tak silne, że chociaż znajdowali się w środku jakiejś swojej żarliwej rozmowy – musieli się mną zająć. Z podniecenia nie mogłam nawet porządnie tego fragmentu prze-

czytać. Ojciec pochylił się nad tekstem, a ja po raz pierwszy w życiu użyłam słowa „piękne” w odniesieniu do wiersza.

– Dlaczego tak uważasz? spytał poważnie i dostrzegłam w jego oczach, także po raz pierwszy, zainteresowanie tym, co mówiłam. Byłam dumna. Słuchał mnie jak człowieka dorosłego. Myślę, że od tej chwili związało się między nami tajne przymierze. Dotyczyło poezji i Mickiewicza. Oboje zostaliśmy do końca życia przechwyceni przez wieszczą. Na gwiazdkę dostałam niezwykły prezent, albumowe wydanie *Pana Tadeusza*, jak na możliwości finansowe rodziców bardzo drogie. Dedykacja brzmiała: „Swej jedynej, ukochanej córeczce, gdy zaczęła odczuwać i rozumieć piękno Mickiewiczowskiej poezji”. Żaden już inny podarunek nie wzbudził we mnie równie żywiołowej radości. Książka była tak wielka i ciężka, że nie mogłam jej utrzymać w dłoniach.

Przez całe lata najważniejsze pozostały dla mnie w *Panu Tadeuszu* opisy przyrody. Uczłowieczone drzewa, gadające warzywa, stawy jak twarze zakochanych, deszcze wiążące warkoczami niebo z ziemią – cały ten baśniowy, czujący świat wszedł w moje życie, wyobraźnię i został na zawsze.

Trudno przecenić jego wpływ na moje wiersze. Nie o podobieństwa formalne chodzi (nie umiem naśladować, nie kocham stylizacji), nie o sposób patrzenia na naszych braci młodszych, ale o ich ciągłą obecność w moim życiu, uczuciach i myśleniu. Natura znacznie częściej niż kultura zmusza mnie do pisania.

W środku lat stalinowskich ojciec zyskał nagle niespodziewanie więcej czasu dla swojej pasji naukowych. „Wytrzasnęli mnie z hukiem” – powtarzał o końcu swojej kariery kuratorskiej. Prędko jako absolutnie niemanipulowalny i chorobliwie bezkompromisowy stał się dla nowej władzy niewygodny. Do emerytury uczył w szkołach średnich. W efekcie, o ironio, w mrokach stalinizmu spokojnie sobie studiował tajemnice różokrzyżowców i łóż masonskich, zgłębiał Talmud, analizował okultyzm, wkraczał w tajemnice somnambulizmu, magnetyzmu i seansów spirytystycznych, czytał o diabłach, aniołach, upiorach, badał towarzyszącą, prześwietał mesjanizm i różne formy mistyczności. Bez tego wszystkiego razem, twierdził, nie można zrozumieć Mickiewicza¹. Monografia, którą z heroizmem ukończył po wielu latach (nie

¹ Do przedwojennej pracy Czesława Latawca, na ten m.in. temat, pt. „*Dziady*” A. Mickiewicza. *Nowe oświetlenie problemów*, Poznań 1929, miał się w wiele lat później odwołać Francuz, Jean-Charles Gille-Maisani w książce *Adam Mickiewicz człowiek. Studium psychologiczne*, która ukazała się w polskim tłumaczeniu w 1987 r., trzy lata po śmierci ojca.

przerwał pracy nad nią nawet, aby zrobić habilitację i przejść na uniwersytet) i podyktował maszynistce, liczyła przeszło dwa tysiące stron. Nie udało się jej wydać drukiem. Leży do dzisiaj w dolnej szufladzie jego szafy bibliotecznej i czeka, aż zdobędę się na odwagę, aby ją przeczytać; wielki stos cieniutkich przebitok maszynowych poprawionych gęsto drobnym i zupełnie nieczytelnym pismem ojca. Mój wyrzut sumienia...

Czasem wydaje mi się, że w tej wielkiej, orzechowej, pachnącej kurzem szufladzie leży nie martwy stos kartek, ale jakiś czekający, niczym w baśni, na ożywienie surrealistyczny stwór o podwójnym sercu, krwiobiegu, tak w wyobraźni splótł mi się, tworząc całość, przedmiot badań z badaczem. I zawsze, przez całe lata, gdy czytałam głośno moim uczniom Wielką Improwizację, słyszałam głos ojca (to było dosłowne słyszenie, w mojej krtani żył puls jego nieżyjącego głosu).

Przez pięć lat studiów dla mnie i dla moich przyjaciół z polonistyki ojciec przygotowywał i wygłaszał co tydzień w naszym mieszkaniu wykłady z historii literatury, od średniowiecza do końca dwudziestolecia międzywojennego. I jemu przede wszystkim zawdzięczaliśmy swoją wiedzę (w drugiej połowie lat pięćdziesiątych poznańska polonistka dopiero wolno dźwigała się z zapaści).

Wierzę, że tak jak w starych, wielkich szkołach wędrują między ścianami cienie nauczycieli sprzed dziesięcioleci, tak i u nas w domu nadal chodzą w powietrzu słowa ojca i wiersze romantyków (kochał ich najbardziej). I choć pan Mickiewicz nigdy nie zadzwonił do naszych drzwi, wcale by mnie nie zdziwiło, gdybym któreś nocy, w ruchomym od cieni liści mroku, zobaczyła poetę siedzącego w fotelu ojca.

Krystyna Mitobędzka

Słuchałam piosnek

W najwcześniejszych wspomnieniach z dzieciństwa nie umiem oddzielić babki w zapiętej pod szyję czarnej sukni od „nie dbam ja-ka spadnie ka-ra, mi-na Sy-bir czy kaj-da-ny, za-wsze ja wier-ny pod-da-ny pra-co-wać bę-dę dla ca-ra”, tego Sybiru od zwijania włóczki, babki i matki wyprostowanych, nie dotykających plecami oparcia krzesel od „słowiczku mój, a leć a piej”, ojca „uważaj, to Andriolli” od oglądanej książki, tej książki od obrazków za bibułka, bibułki od obrazków, matki piosnek przy fortepianie od babki piosnek przy oknie,